

CYRULIK

WARSZAWSKI

GOLI W KAŻDĄ NIEDZIELĘ.

Nº 3.

R.1

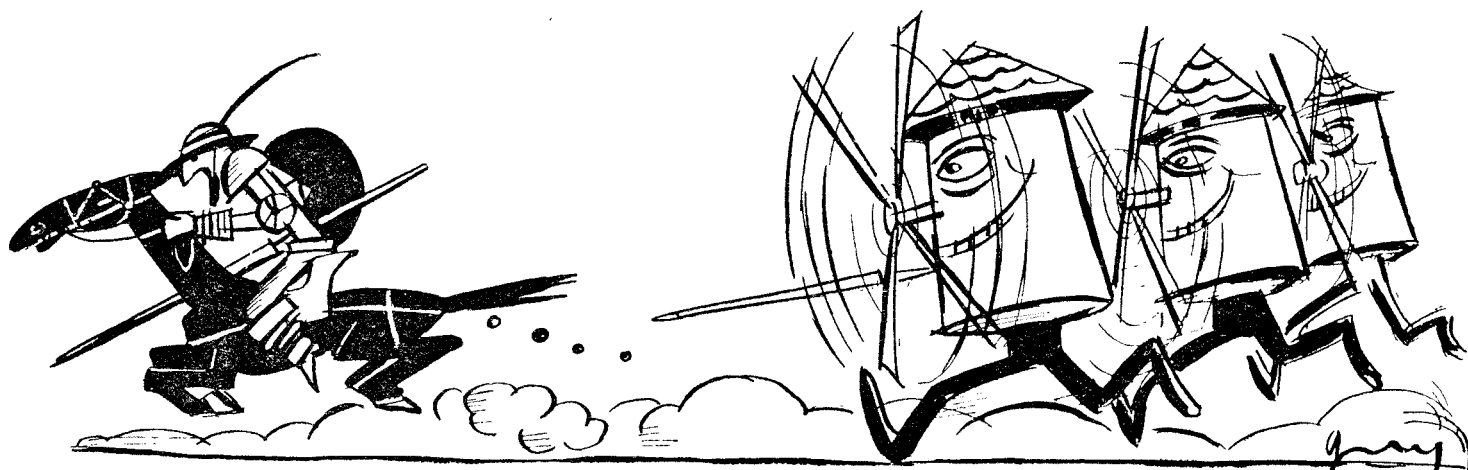
ŚMIEJMY SIĘ! KTO WIE CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE? (BEAUMARCHAIS)



„MY PIERWSZA BRYGADA”!

rys. Zdzisław Czernański.

ODA DO DON KICHOTA.



rys. K. Grus.

Sławię, rycerzu, Twe imię wśród świata,
Czyny szalone obłędne i świetne,
Minę koguta i serce warjata —
Głupstwo szlachetne.

Razem jedziemy przez noc niespokojną,
Dumnie błędzimy w wędrówce beztrwożnej.
Pędzą za nami w ślad konno i zbrojno
Karczmy przydrożne.

Nie, to nie wiatrak! Uderzmy naoslep!
Kopje nastavmy, przyłbice opuścmy!...
Ach, człapie przy nas, jak Sanszo na osle
Śmiech dobroduszny...

Nie, to nie wiatrak, to los nami miota
W wiecznej wędrówce szalonej nadziei,
To serce, śmieszne, jak list Don Kichota
Do Dulcynei.

Z Tobą, kochanku poetów i durni,
Pieśń moja błądzi i w niebo nie wzłata.
Oto co nocy wyjeżdżam na turniej,
Sam pośród świata.

Quidam.

O ludziach dowcipnych.

Istnieje wielu dobroczyńców na świecie.

Jedni poświęcają się potajemnie, inni jawnie. Jedni ofiarowują pieniądze, inni działalność.

Ale istnieje jeszcze jeden rodzaj dobroczyńców, — cichych, niedostrzeżonych, nieznanych, w większości wypadków nawet prześladowanych. Ci służą ludzkości z zaparciem się siebie i bezinteresownie i z takim poświęceniem oddają się tej służbie, że ani ciosy przeznaczenia, ani ciosy zezwierzęconego człowieka nie mogą ich zawrócić z raz obranej drogi.

Mówię o ludziach dowcipnych.

Komuż się nie zdarzyło spotkać w towarzystwie człowieka, bezustannie, z napreżeniem starającego się powiedzieć dowcip. Raz się nie udało, — to nic. Złodka się tylko zaczerwieni, ale nie ustąpi. Wymyśli nowy dowcip, albo z niezmiennym zaparciem się siebie powtórzy po raz drugi ten sam. Rezultat będzie taki sam, jak i za pierwszym razem, ale on nie upada na duchu i, odpocząwszy trochę, znów się zabierze do tego samego z dziwną gorliwością, jakby mu za to płacili.

Otoczenie źle się odnosi do dowcipnisia. Jeżeli go mało znają, wymieniają tylko z powodu niego znaczące spojrzenia. Jeżeli to swój człowiek, mówią mu poprostu i okrutnie:

— No, wie pan, to — słabe.

Albo zaczną obłudnie jęczeć:

— Ach, zarznął! Zarznął!

— Ach, trzeba było uprzedzić! Nie można tak odrazu!

— Na drugi raz ostrożniej, panie młody, bo może pan ludzi pokaleczyć!

Szydzą z niego tak długo, jak kto może, a on milczy, pokornie spuszcza oczy i tylko uśmiecha się niewyraźnie uśmiechem nędzarza, któremu zrobiono wymówkę z powodu jego łachmanów.

I nikt nie domyśla się, że ma przed sobą niewyraźnie uśmiechającego się przedstawiciela najgorliwszej i najbardziej interesowniejszej służby ludzkości.

Przypatrzcie się takiemu dowcipnisiowi w chwili, gdy jakaś niewybredna dusza uśmiechnie się w odpowiedzi na jego dowcip.

Cały się zaczerwieni, dostanie drgawek, zacznie się jękać, na czoło wystąpi mu pot i powtórzy jeszcze kilka razy z rzędu swój dowcip, sądząc, że, kto wie, może jeszcze raz wywoła ten sam efekt.

Niema w tem ani trochę interesowności. Pojmujecie państwo, że temi nielicznymi, kwaśnymi uśmiechami na wargach słuchaczy nie nakarmi on swojej rodziny. Ale jemu niczego nie potrzeba. Żyje po to, żeby cieszyć otoczenie. A czyż to nie wzniosły cel.

Jest kilka kategorii dowcipnisiów.

Jedna, — i to najgorsza, bo pozbawiona zupełnie czynnika twórczości osobistej, — żywi się gotowymi anegdotami.

Dowcipniś takiej kategorii przerwie nagle poważną rozmowę rzeczowem pytaniem:

— Czy zna pan nową anegdotę o ramie od okna?

— O ramie od okna nie znam nawet starych!

— Jak to? A więc niech pan posłucha.

I gada.

Jeżeli zauważy, że anegdota się nie podobała, opowie inną. A jeżeli zauważy, że się podobała, to, powtórzywszy ją dwa razy, opowie dziesięć innych, i powstrzymać go może tylko wtargnięcie jakiejś siły wyższej, na przykład, jeżeli najedzie na niego motor o sile czterdziestu koni.

Większość dowcipnisiów opowiada anegdoty bardzo kiepsko. Powolnie, rozwlekłe, — nie wiadomo czy skończył, czy ciągnie dalej.

Albo naodwrot, na samym początku sam się zaczyna śmiać i przygotowuje słuchacza do czegoś nadzwyczajnie śmiesznego, tak że ten napewno, poznawszy zakończenie, rozczaruje się.

— Tylko tyle?

— Jak to tylko tyle? Ależ pan chyba nie zrozumiał?

I zaczyna od początku.

Niektórzy sumienni dowcipnisie, zaczynając opowiadać anegdotę, opowiedzą najpierw jej zakończenie i wyjaśnią szczegółowo o co rzecz idzie, a już później przerzucą się do początku i dadzą wam całość.

Przygotowany w ten sposób słuchacz może się roześmiać tylko, jeżeli jest bardzo dobrym człowiekiem, czującym wdzięczność za to, że go wybawiono od ciężkiej pracy wygrzebywania się samemu z pokładów soli tego dowcipu.

Dowcipnisie drugiej, wyższej kategorii, sami wymyślają dowcipy. Wielu z nich zresztą skrycie należy do pierwszej kategorii, ale starannie to ukrywa. Posługują się temi samymi, powszechnie znanymi anegdotami, tylko zawsze zapewniają, że to się przytrafiło im samym, albo ich znajomym.

Dowcipnisie drugiej kategorii lubią dawać takie rady:

— Mógł pan mu odpowiedzieć: było jasno, bo świeciła pańska głupota...

— Mógł pan mu palnąć...

— Mógł pan mu się odciąć...

Uczą, uczą z całej duszy, starają się... Niewdzięczna praca...

Istnieją dowcipnisie do tego stopnia zawili, że nikt nigdy nie może sam się domysleć sensu tego, co powiedzą. Oni sami wiedzą o tem i, powiedziawszy dowcip, zawsze robią pauzę, oczekując na pytania.

— Dla tego pana to za trudne! — mówi taki dowcip-

niś i chytrze przymruża oczy, żeby dowieść, że powiedział dowcip, a nie że palnął sam nie w co.

— Co takiego? — zdumiewają się słuchacze, snują domysły, rozkładają ręce i wkońcu pokornie proszą o wyjaśnienia.

— To znaczy, — triumfuje dowcipniś, — że „dla każdego mądrego człowieka to nie jest za trudne“, a dla głupca, znaczy się, za trudne.

I wszyscy żałują, że pytali.

— Ten człowiek nigdy nie będzie tematem utworu Gribojedowa.

Znowu nikt nie rozumie.

— To bardzo proste! — wyjaśnia dowcipniś, podrezywszy ich, jak się należy. — Nigdy nie będzie miał „Nieszcześcia przez rozum“, bo niema rozumu, ha-ha! Czyż tak trudno było się domysleć?

Ten rodzaj dowcipnisiów jest nieprzyjemny, bo, rozmawiając z nimi, ma się wrażenie, że długo, z trudem i ogromnem naprężeniem odkorkowuje się pustą butelkę.

Ostatni, najgorszy, ale i najpospolitszy typ dowcipnisiów, to — kalemburzyści. To ci, którzy zamiast powiedzieć „czy chce pan herbaty“, mówią „czy chce Herr baty“.

Albo:

— Jesteś Rózia a dlaczego nie masz róży?

— Czy brat pana bardzo kole?

— Co takiego, nic nie rozumiem!

— No a przecież pan sam go nazywa „Kolia“.

— Pani się nazywa Mania pewnie dlatego, że tak wszystkich mani.

— Pani się nazywa Wiera, a mnie pani oszukała.

Takich dowcipnisiów często biją, nie zważając na czyste i święte ich zamiary służenia bliżnim swoim.

Spotyka się także dowcipnisiów tak nieszczęśliwych, tak zahukanych i rozczarowanych co do swych zdolności, a równocześnie z uporem nie chcących zawrócić ze swej ciernistej drogi, że powinni wzbudzać w swych rozmówcach nie gniew i niechęć, lecz cichą sympatię i zachwyt dla swej wytrwałości.

Nieraz widziałem takich dowcipnisiów.

Pamiętam jak jeden z nich, duży, otyły człowiek, wchodząc do pokoju, rozglądał się nieśmieiele, wynajdywał kogoś bardziej zprostą, lichą ubranego, z poczciwą twarzą, przysiadł się do niego i bez żadnych wstępów mówił:

— Pewnego pana zapytano, czy lubi dzieci... i t. d.

Skończywszy tę anegdotę, zaczynał bez najmniejszej pauzy następną.

Nie oczekiwał ani śmiechu, ani podziękowania, mówił półgłosem, prawie szeptem, żeby go nie słyszeli inni, żli i dumni, i żeby go nie pobili.

Biedny, poczciwy, bezimienny dobroczyńca. Mówię „bezimienny“, bo nawet gospodyni domu nie pamiętała jego nazwiska, dlatego że od wielu lat nazywała go poprostu „ten stary dureń z anegdotami“.

Teraz, kiedy to wszystko przemyślała, daję uroczystą obietnicę śmiać się ze wszystkich dowcipów, żartów i anegdot, choćby mnie to kosztowało zdrowie a nawet życie.

I jeżeli władze pozwolą, zorganizuję towarzystwo opieki nad niefortunnymi dowcipnisiemi, które będzie tym wzniosłym i bezinteresownym dobroczyńcom dawać zapomogi i ubezpieczać ich na wypadek przemęczenia i kalectwa.

z Teffi.

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ W OBRAZKACH

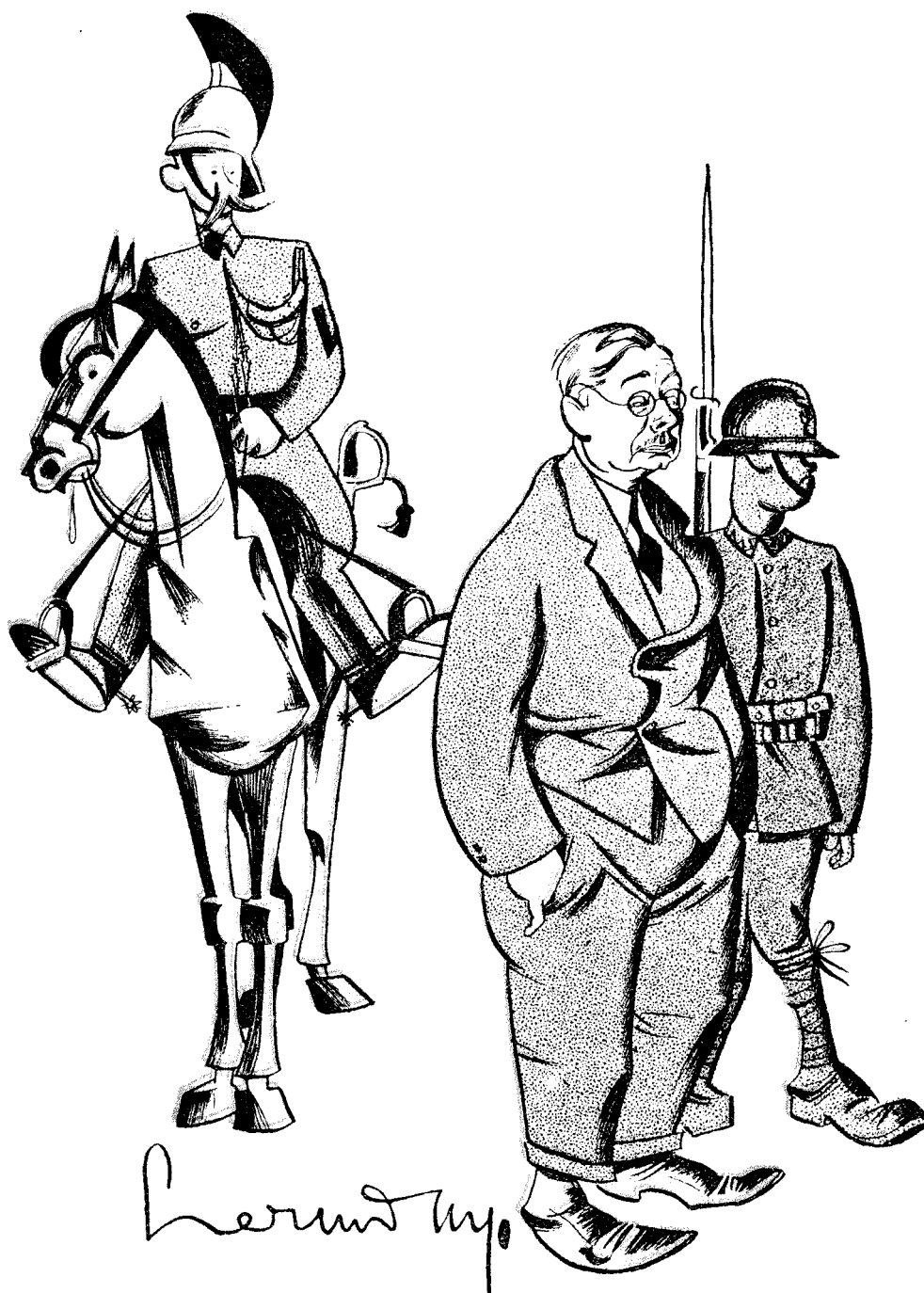
Skrót „Wesela” St. Wyspiańskiego, dla użytku młodzieży szkolnej, w jednym zapytaniu i 17 odpowiedziach.

Zapytanie:

CÓŻ TAM, PANIE, W POLITYCE?

Odpowiedzi:

- Pan się boją we wsi ruchu.
- Koncept narodowy gaśnie.
- Sami swoi, polska szopa.
- Bałamuctwa w wielkim stylu.
- Ensemble, jak feerji, z bajki.
- Ciewy, ciewy z kiepskim rządem.
- Ktoby zadarł z tą bestyją?
- Wojewoda, wojewoda,
- Ja pan, ćwierć kraju mam w ręku.
- A wie pan: ojczyzna to chemja.
- Odbywa się wielkie darcie,
- grunwaldzkie duchowe starcie.
- Sam w stolicy, ten nas zbawi.
- Cóż takiego? Kto ten stary?
- Tyla się naciskoł, szumioł,
- Zwymyślał het dookoła.
- Ja muzykę zacznę sam.
- Wszystko jest prowizoryczne.
- A umie pan kopnąć nogą?
- W powietrzu atmosferyczna
- zmiana.



rys. Z. Czernański.

„GŁOS WOLNY – WOLNOŚĆ UBEZPIECZAJĄCY.”

BIBLIOGRAFJA.

W najbliższym czasie ukażą się arcydzieła literatury polskiej i obcej w nowym opracowaniu i z komentarzami wybitnych polityków:

Niemcewicz „Powrót posła” w opracowaniu St. Strońskiego.

Kochowskiego „Niepróżnujące próżnowanie” (czyli cztery lata w Sulejówku) w opr. marszałka Piłsudskiego.

Baryki „Z chłopów król” w opr. posła Cwiakowskiego.

Reja „Żywot człowieka poczciwego” w opr. p. St. Wojciechowskiego.

Krasickiego „Doświadczyńskiego wypadki” w opr. p. prezydenta Mościckiego.

Z bajek Bożewicza.

Jeden pan, człowiek skromny, stanąwszy na mecie

Spuścił na dół rewolwer przed swoim
wysrzałem

Pytają go: „dlaczego? miałeś strzelać przecie”

„Trafiać” odrzekł „nie zwykłem. A chybić
nie chciałem”.

Ze sportu.

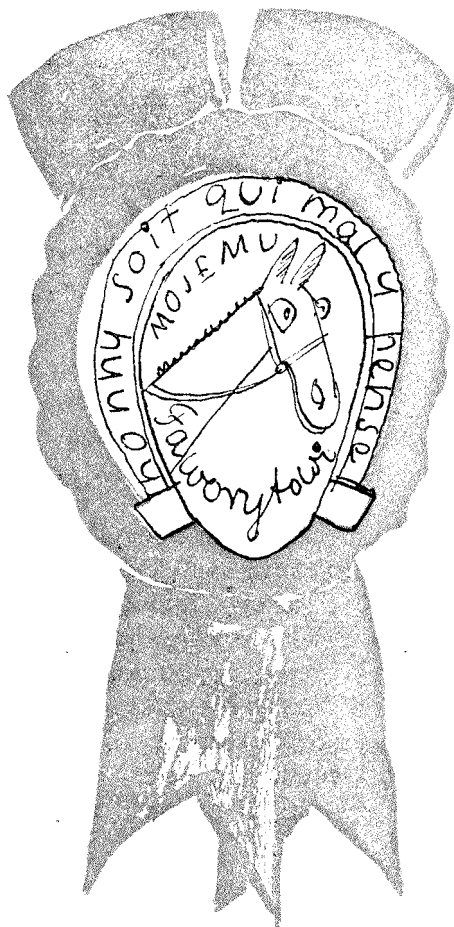


rys. Pík.

(PAT). W dniu 13 czerwca odbyły się na polu Mokotowskim wyścigi konne, które zaszczylił swą obecnością pan prezydent Rzeczypospolitej Mościcki, powitany przy wjeździe na tor pieśnią: „My pierwsza brygada”, odegraną przez połączone orkiestry organizacji ziemiańskich, pod batutą Seweryna ks. Czetwertyńskiego. Nieobecnego p. ministra spraw wojskowych marszałka Piłsudskiego zastępował płk. I. K. Iłakowicz (w mundurze 1 p. szwoleżerów z crêpe georgette, przybrany różową iluzją). Pan prezydent w towarzystwie ks. prałata Tokarzewskiego zasiadł w łoży masońskiej.

Śród wytwornych zaprzęgów i lśniących limuzyn zwracały uwagę eleganckie samochody pancerne gości poznańskich.

W obecności pana Prezydenta Rzeczypospolitej rozegrane zostały następujące gonitwy: bieg dzentelmeński dla starych koni ze stajen państwowych: (jechali: gen. Józef Haller na „Legendzie”, pan Władysław Grabski na wałachu „Mój złoty”, ambasador Chłapowski na „Radioamatorze”) i bieg do Wilna o nagrodę p. ministra sprawie-



rys. Pík.

dliwości (puhar przestępny), Panowie jadą: Zwyciężył p. Korfanty na ogierze „Hulaj Dusza” ze stajni p. Augjasza.

W czasie przerwy między biegami Pan Prezydent spożył w swej łoży podwieczorek, do którego podano tradycyjną niedzielą wódkę składkowską, wzmocnioną dla członków Korpusu Dyplomatycznego kroplami lauriowymi.

MICKIEWICZ O SKRZYŃSKIM.

Tymczasem, bracie, z hrabią trzeba przyjść do zgody,
Jest to dziwak, fantastyk trochę, ale młody,
Pocziwy, dobry Polak; potrzebny nam taki,
W rewolucjach bardzo potrzebne dziwaki.

(„Pan Tadeusz”, ks. VI).

Z sali odczytowej.

Pan Czesław Oraczewski powtórzyć ma na dochód funduszu bezrobocia posłów socjalistycznych swoje dwa sensacyjne odczyty



„Kto winien: mężczyzna czy kobieta?”

i



„Czy amerykańnin Ford może zostać królem Polski”.

PLICA POLONICA PARANOICA.

Odczyt, wygłoszony przez prezesa P. P. P., Pękosławskiego, w czerwcu r. b., na zaproszenie „Związku Zawodowego Paralityków Postępowych Polskich” (sprawozdanie stenograficzne).

„Panowie Paralitycy Postępowi Polscy!

Powiadają powszechnie: Prezes P. P. P. Pękosławski po porażce poważnie posmutniał. Prawda! Powód?... Pytanie pełne perfidji, powiedziałbym psychicznej perwersji.



Proszę posłuchać. Przedstawię panom pokrótce przygotowania P. P. P.

Pieniądze — pitu — pitu! Piećdziesiąt półzłotówek, przysłanych przez patryjotów poznańskich; pozatem piętnaście pesetów, podarowanych półoficjalnie przez Primoderiverę; prócz powyższego przyobiecana pożyczka paru przechrztów; ponadto prawie pewna prywatna pomoc pieniężna posła Paragwaju.

Poparcie polityczne państw: Portugalji, Peru, Portorico — pewne; Persji — prawdopodobne; Panamy — problematyczne.

Proporce — projektowane.

Pałaszów prawdziwych, po przodkach poszczerbionych — pięć; przeszło pięćset papierowych (*pochwy* pięknie powleczone „Pomalinem”).

Patrontaszy, plecaków płótna — profuzja (*portek* — przymało).

Podwód przygotowanie — przewidziano.

Piechotę przyśle Parana.

Pistoletów pojedynkowych — para (plus puzdro).

Petard, pocisków papjemaszowych — parę pudeł.

Pakuł — pełna paka.

Prochu — półkilo.

Pikrytu — pięćdeka.

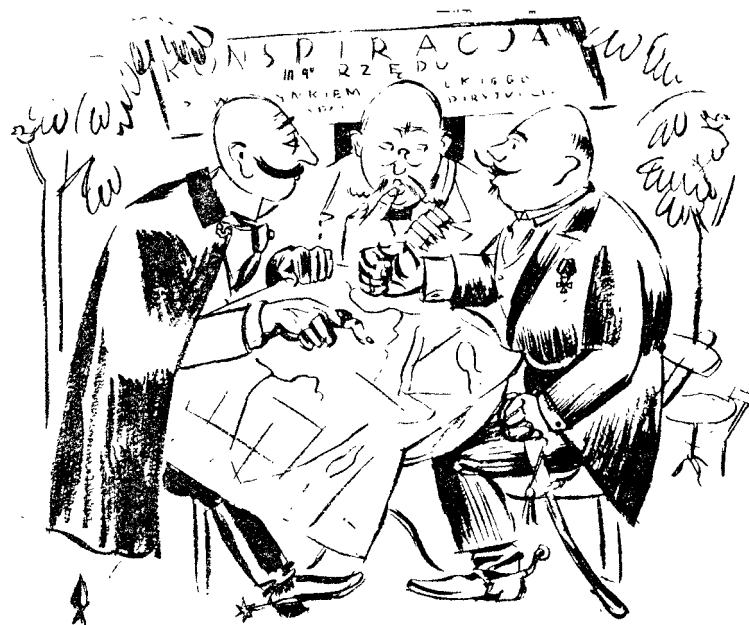
Piroksyliny — pudełko po „Polodoncie”.

Pigułek „Purgatif-Perpetuel” — porządna porcja.

Proszki piramidonu.

Portret Paderewskiego.

Pocóż przysięgałem, pyskowałem, pokątnie patryjociłem!... Przewaga pryków, politycznych purchawek popsula piękne plany! Pomidory protegowały, póki pracowano potajemnie! Prezerwatywa przezorności pękła, psiamać! Proces!... Po przeklętym procesie paskudny posmak piołunu, pośmiewiska, papryki, pogardy, przykrości, pluskwy, postponowania, parmezanu, przygnębienia, pixavonu! Piekielna prasa potraktowała pomacoszemu, popiesku, powiem poprawdzie: poświęć potężną pracę prezesa; prawica, parszywa pomocnica, pokpiwa, psiakrew! przyjaciele-pigmeje próbują pocieszać poniewczasie... Pozostał po petardzie patryjotardów pif! pa! — puch-pyl-piach! Piorun poświęcenia — pospolita pukawka! Perspektywa popularności przysła!... Pogrom patryjotycznego pogotowia przesadzony! Poco pracować?... Pyszne pomysły — próchno! Podle Polska przyjęła proroka praworządności: plugastwo pogrzebało pioniera prawdziwego patryjotyzmu! Przyszłość pokaże potomnym potworne przestępstwo, przekazując pamięć promiennej postaci prostaczkom! Pókico.... pirotechnika Pękosławskiego przesłonił Polsce Piłsudski! Pech-pech-pech!!!



rys. Plk.

Przyp. Stenografa. Według orzeczenia psychiatrów P. P. P. było ciekawym objawem rzadko spotykanej odmiany psychozy, t. zw. *literomanji*, polegającej na posługiwaniu się przez dotkniętego tym urazem psychicznym osobnika wyłącznie słowami, zaczynającemi się od pewnej litery alfabetu, zwykle pierwszej litery nazwiska chorego. W tychże kołach lekarskich panuje przekonanie, że P. P. P. był to poprostu podświadomy skrót: *Plica, Polonica, Paranoica* (kółtun polski na tle chronicznych zaburzeń umysłowych) domorosłych zbawców ojczyzny.

stenografował

Wacław Rogowicz.

Wystawa Radjowa.

W szkole Podchorążych ruch szalony. Przez sale wystawy przewala tłum cywilnych osób, z których każda przysła tu poco innego.

— Patrz Felek — powiada jakiś młodzieniec w kołnierzu à la Słowacki — tu, gdzie leży ten odbiornik detektorowy, stały kulomioty, a tu przy tym oknie widać ślady od granatu.

— Szkoda, że tu stoi prądnicą Marconiego, bo można by zobaczyć dziurę w podłodze.

Jak widać, tych młodzieńców mało interesują wynalazki i zdobycze geniuszu ludzkiego. Przed kioskiem Polskiej Stacji Nadawczej stoi jakaś babina i narzeka:

— Czy to porządek jest, żeby wszystkim to samo grało? „Mój” kupił za dwieście złotych aparat a to samo mu grają, co na czwartym piętrze u tego introligatora, co to z Rosji wrócił i na wiarę z kobitą żyje.

Największe powodzenie ma oddział, w którym demonstrują szybkość wymiany radjotelegraficznej z Ameryką.

Urzędnik nadaje depezę i w kilkadziesiąt sekund później pokazuje odpowiedź stacji z New-Yorku. Robi to z miną człowieka, który pierwszy wpadł na pomysł zastosowania fal Hertza do przedawania depeż.

— Buja gości — tłumaczy jakiś frant niedzielny, ubrany we frakową koszulę i jasny garnitur, — kto go sprawdzi z kim gada? Wszystko to, panno Józiu, żydowskie wymysły i kawały, żeby tego złociszka od frajera wycisnąć.

— Niby na ten przykład jak z tem głodomorem — odpowiada jego bardzo czerwona na twarzy towarzysząca.

— Cudu nie widzę — zwierza się jakiś starozakonny kupiec — to, że Ameryka mówi to jest mało, co ona mówi. to też nie jest dużo, a pożyczki dolarowej to oni przez radjoparat nie dostaną.

Chłopcy, mali uczniacy z palcami zawałanemi atramentem to najliczniejsi goście wystawy. Ci malcy, którzy lepiej się znają na kinie od Irzykowskiego, ci młodzi entuzjaści techniki orjentują się w radjo bez porównania bieglej od swoich rodziców i opiekunów.

— Mamusiu — pyta się taki dwunastoletni uczeń — czy lampa katodowa może działać jako amplifikator?

— Nie garb się — chodź prosto — strofuje go młoda mamusia. — Chodzenie prosto jest bowiem jedyną jeszcze dziedziną, w której może imponować synowi.

Przed tablicą z napisem „Zmiany potencjału” chichocze jakiś obywatel z prowincji i bijąc w brzuch swego towarzysza, szepcze mu coś do ucha.

Tuż obok mała dziewczynka przestraszyła się Jazzbandu z Deventry i ryczy głośniejsz od głośnika Marconiego.

— Cicho, bo cię ten żyd weźmie — uspakaja ją nianka, wskazując portret Hertza.

Wokół głośników ryczących naprzemian wszystkimi głosami świata, tłok jest największy. Tuż koło mnie stoi oparty o balustradę student o bladej i nieogolonej twarzy.

— Słuchajcie Zadkinówna — mówi do swej towarzyszki — czy słyszycie wielojęzyczną pieśń Kosmosu? Ten chaos niebytu? Wiecie, ja lubię ten rytm cywilizacji, te kroki, które się rozlegają w naszych czasach, te świsty maszyn, które działają na mnie, jak narkoza...

Jego towarzysząca, pulchna żydóweczka, z rodzaju tak

zwanych „miłych brudasów”, patrząc mu głęboko w oczy, odpowiada:

— Wy, Szwalbe, jesteście naprawdę człowiekiem współczesnym.

— Tak ja wogóle jestem dziwak — odpowiada młodzieniec i patrzy z zadumą przez okno.

Przy wejściu do bufetu jakaś wytworna eteryczna dama rozmawia z młodym oficerem.

— Mąż wyjechał, niech pan przyjdzie wieczorem, pokażę panu aparat.

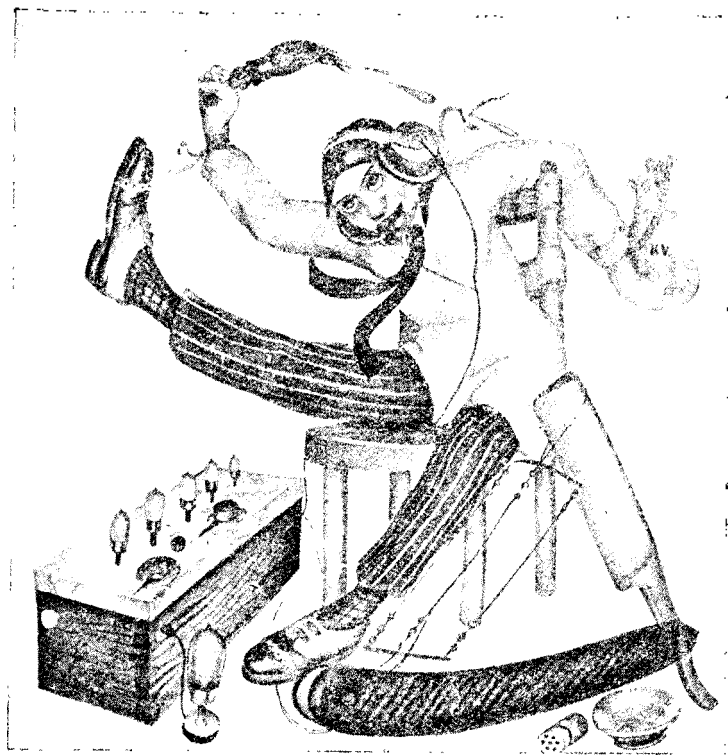
— Nareszcie — szepcze czule oficer i całuje ją przeciągle w rączkę.

Przeciskam się przez tłum, kierując ku wyjściu. Nagle wzrok mój pada na wielki świecący napis: „Gdy aparat twój gdera—Bierz słuchawki na Nespera”, a niżej: „Gdy aparat źle odbiera—Zmień słuchawki na Nespera”. Jest to wielki konkurs na dwuwiersz, reklamujący słuchawki. Sto nagród. Szalone zainteresowanie. Czuję, że ogarnia mnie zaraza tego rymu.

Już po paru sekundach jestem autorem dwuwierszy w rodzaju „Bomby kupuj u Steigera — A słuchawki u Nespera”, lub „Chociaż żona, syn, umiera, — Rypaj bracie do Nespera”. Jest to najwyższy czas, aby opuścić wystawę radjową. Konkurs Nespera może ludzi wrażliwych doprowadzić do ciężkiej, długiej choroby nerwowej. Nie wiem, czy uda mi się pozbyć tego natręctwa. W każdym razie teraz jeszcze resztką świadomości oznajmiam doktorowi Bychowskiemu, dla ułatwienia kuracji psychoanalitycznej, że mam kompleks Nespera.

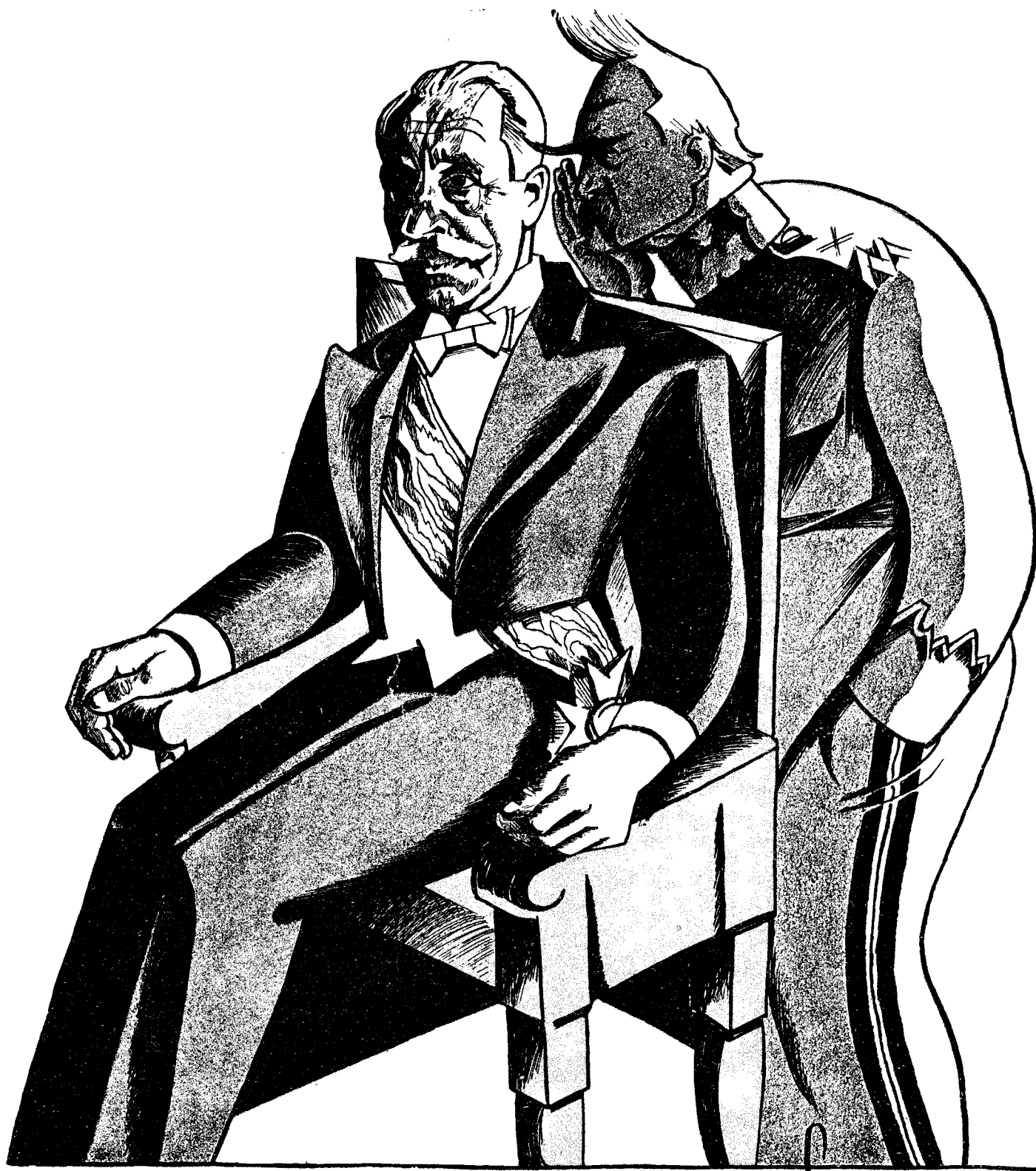
Antoni Słonimski.

Historja Cyrulika III.



Możecie śnić podróże, wzrok do góry wznosić
A dzień po dniu tak samo i leniwo płynie
Cyrulik słucha plotek, które znoszą goście,
A czasami wieczorem złej muzyki w kinie
Lecz, wiedząc: niema ciszy i każdej minuty
Poprzez eter drgający — miliard słów przelata
Cyrulik zblił, wplątany w tajemnicze druty
I usłyszał raz pierwszy wielki głos wszechświata.

Historja literatury polskiej w obrazkach.



Zdzisław Czernański

„O SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE”.

rys. Zdzisława Czernańskiego.

Druk ukończono 19-go czerwca 1926 r.

Cena numeru 50 gr. Prenumerata kwartalnie 5 złotych.

Redakcja i administracja E. WENDE i S-KA, Krakowskie-Przedmieście 9.

Redaktor i wydawca LEON OSIŃSKI.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.



W r a z u r z e Cyrulika Warszawskiego mówiono, że:

rys. Bencz.

Wystawienie „Nie-Boskiej” w kostjumach współczesnych wywołało lekki niepokój. Ze sfer zachowawczo usposobionych dochodzą nas wieści jakoby w charakterze rewanżu miano w najbliższej przyszłości wystawić parę sztuk współczesnych w kostjumach historycznych. Na pierwszy ogień ma pójść „Niewinna grzesznica” wystawiona w stylu „sansculotte”. „Pan Minister” ma być wznowiony i zagrany w togach i dla podniesienia poziomu na koturnach. „Dzieje salonu” mają być wystawione w stylu Dyrektorjatu Jana Lorentowicza a „Papierowy kochanek” w kostjumach z pierwszego cesarstwa Juliusza Osterwy. Teatr „im. Bogusławskiego” nie zostanie oczywiście dłużny i grozi wystawieniem „Snu nocy letniej” w pyjamach i „Kupca weneckiego” w chałacie.

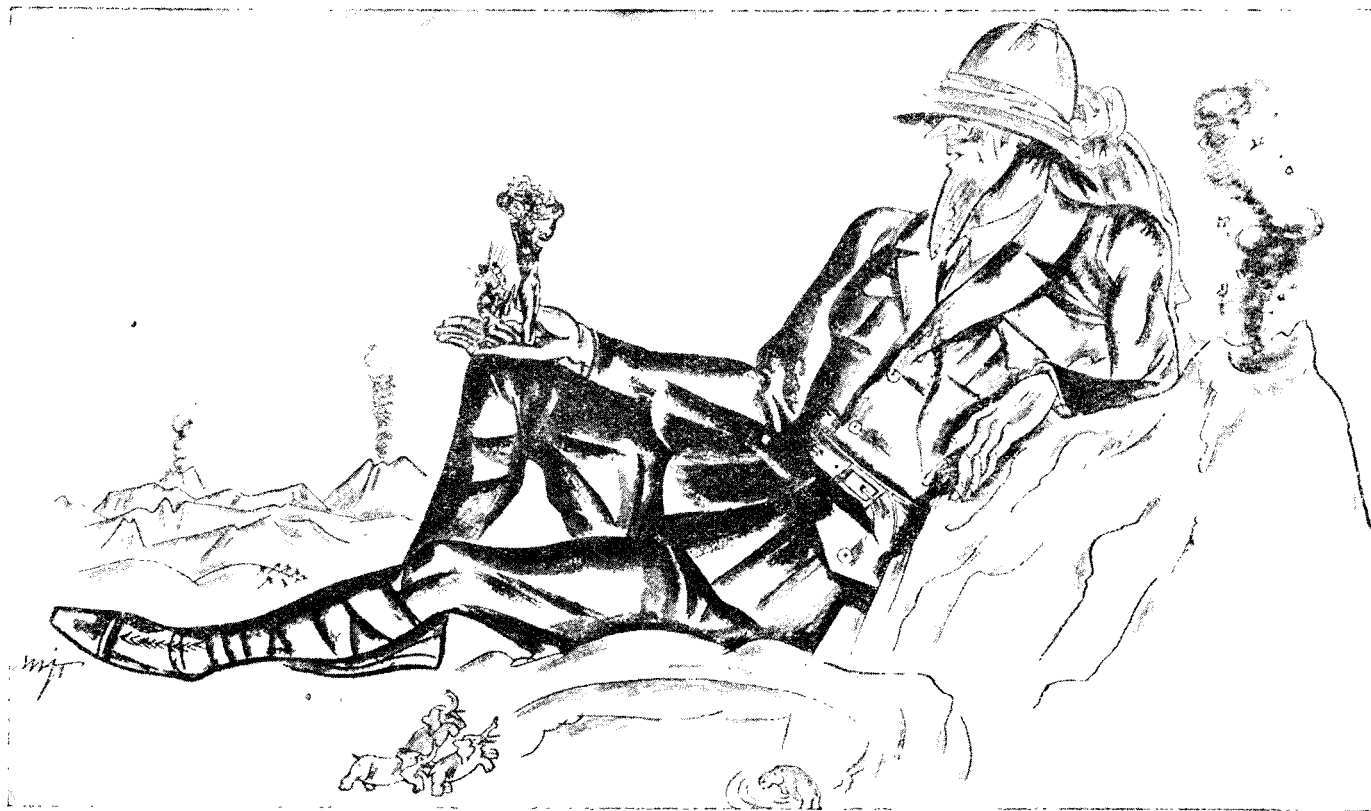
Poza tem mają w teatrach warszawskich zająć jeszcze inne poważne zmiany. W salach ređutowych ma powstać nowy teatr eksperymentalny pod nazwą „Reduta Osterwy” albo też „Port Artura”.

Dowiadujemy się również, iż Grzymała Siedlecki nosi się z zamiarem napisania nowej komedji, którą już odrzuciła dyrekcja teatru „im. Bogusławskiego”, motywując swój krok zbytnią trywialnością efektów i rozwlekłością dialogów.

Kiedy pan ex C. Lenz usłyszał w dniu pierwszego Zgromadzenia Narodowego wystrzały armatnie, powiedział: „Widocznie źle wybrali, bo już strzelają”.



MAMO JA CHCĘ MURZYNA!



rys. M. Berezowska.

b. cesarz Wilhelm zwrócił się do rządu angielskiego o zwrot jego prywatnych posiadłości w kolonjach.

Nieznane rękopisy pisarzy polskich.

(Wacław Grubiński).

(Jarosław Iwaszkiewicz).

(Scena przedstawia pokój kąpielowy. Du-du wychodzi z wanny, Hrabia Becio częstuje ją papierosem (bez ustnika).

Du-du. Niech pan się nie patrzy na mnie, bo jestem nie upudrowana.

Hr. Becio. Patrzeć znaczy posiadać, a ja nieposiadam się z radości. Tak. A właściwie... Nie. Radość jest formą posiadania — ale nie każda radość jest posiadaniem.

Du-du. Niech pan siada.

Hr. Becio. Niestety, nie mogę, gdyż jestem stoikiem.

Du-du (śmieje się zalotnie). Ale pan ma jęczyzek!... Może pan zje zupę i salate.

Hr. Becio. Istotnie północ blisko, więc pora na obiad. Na chałwę i śliwki przejdziemy do śpiżarni.

Du-du. To, że pan mnie nie posiadał w wannie, dowodzi prawdziwej wytworności.

Hr. Becio. Ach, moja mała Du-du... Ludzie wytworni nigdy nie kąpią się wieczorem. Grecy mieli specjalne pyjamy do kąpieli — zwane chitonami. Arystofanes...

Du-du. Powtórz jeszcze to nazwisko. Ślicznie Ci z tem słowem.

Hr. Becio. Służę Ci za chwilę, tylko spuszczę wodę w wannie...

Du-du. Jakiś ty delikatny.

(*Hr. Becio spuszcza wodę. Kurtyna.*)

... Adamek otworzył z trudem drzwi o zardzewiałych zawiasach i stanął na progu swego dawnego studenckiego pokoiku z czasów Kijowskich. (Ach zielone trawy i trawy białe. Gdzie jesteście mozelowe sukienki i obłoki wezbrane pianą izotermi... Zapomniała już pani pewnie, panno Ciapcio, nasze góralskie przyodziewki i podwieczorki u Wróbla w Warszawie). Uderzony stęchłą wonią zapuszczonej wilgoci stał Adamek długo przy oknie i patrzył na znajome buraczone pole cukrowni. Zapach ten przypominał mu mały szwajcarski pokoik, do którego prowadziła go najstarsza ciotka w rośny letni poranek. „Muszę napisać do Witolda i posłać mu ten ustęp z pamiętników Margueritte d'Angoulême księżnej d'Alençon, w którym wspomina o pederastji swego brata”.

Spłynął zmierzch. Zapach białych warzachwi tutuniu przesączył się przez lufcik. Na małą łączkę, leżącą jak dywanik pod oknem wbiega trzech mężczyzn w tenisowych strojach. Jarosław, Szpicberg i Leszek — pomyślał Adamek i zasmucił się. Młoda dziewczyna w stroju amazonki wybiegła im naprzeciw. Zbiegli się w jedną ruchliwą plamę.

Adamek zamknął lufcik.

odnalazł Antoni Słonimski.